

Maria Baraniecka-Witkowska*

Ziemiański dwór w małym galicyjskim miasteczku

Poniższy tekst będzie opisaniem atmosfery rodzinnego domu z okresu nieomal stuletniego: od przełomu XIX i XX w. po prawie cały, tragiczny wiek XX. Spróbuję przedstawić wielorakie aspekty życia domu szlacheckiego w zaborze austriackim, potem wolnej Polsce, a na koniec w Polsce Ludowej.

Rodzinę, którą zamierzam opisać, znałam bardzo dobrze. Jestem po kądzieli prawnuczką ostatniego właściciela majątku w Dynowie. Do dyspozycji miałam pamiętniki rodzinne i sporo zdjęć, niektóre nawet z połowy XIX w. A dodawszy opowiadania o czasach dawnych z okresu mego dzieciństwa mogę przyznać, że tamten dom, tamtych członków mojej rodziny poznałam dobrze. Czasami mam nawet wrażenie, że tam, u moich pradziadków byłam, czuję atmosferę domu, próbuję rozmawiać z jego mieszkańcami... Poniższy tekst będzie wyrazem rodzinnego przywiązania i chęci zatrzymania w kadrze wspomnień świata, który przeminął i ludzi, których już nie ma. Może kiedyś przeczytają go nawet dzisiejsi młodzi zdumiewając się, że życie wyglądało tak inaczej.

* Maria Baraniecka-Witkowska, prawnuczka Stefana Trzecieckiego, ostatniego właściciela Dynowa.

Okres, którego dotyczą wspomnienia

Stanisław Jan Trzeciecki zakupił ziemie otaczające miasteczko Dynów pod koniec XVIII w., a dwór został wybudowany na początku XIX przez jego syna Jakóba (pisownia oryginalna). Dziś nieistniejący, stał na miejscu parku miejskiego noszącego teraz imię jego dawnych właścicieli. Syn Jakóba, Józef, oficer ułanów wojsk austriackich, żył krótko, umarł na kuracji w Truskawcu. Wdowa, Izabela z Urbańskich (która wyszła po raz drugi za mąż za rodowitego Austriaka) wychowała syna Józefa – Zbigniewa, w atmosferze polskiego patriotyzmu. Zbigniew taką postawę zaszczerpił swemu synowi, Stefanowi, a memu pradiadkowi. Jemu to przekazał majątek: dwór i folwark oraz ok. 1200 morgów ziemi. Stało się to po zawarciu przez syna związku małżeńskiego w 1895 r. z Eleonorą z Jaxa-Chamców, pochodzącą z Wiednia, mieszkającą ostatnimi laty we Lwowie. (Ojciec Eleonory, Antoni Jaxa-Chamiec, ziemianin z Andruhy na Wołyniu, objęty banicją carską za udział w Powstaniu Styczniowym, do Królestwa nie mógł powrócić, a jego majątek został objęty carskim sekwestrem. Po studiach dyplomatycznych w Wiedniu pracował przez resztę życia w dyplomacji austriackiej w Wiedniu i Lwowie. Jego ostatnią posadą była prezesura rady nadzorczej kolei lwowsko-czerniowskiej).

Małżeństwo zawarte we Lwowie w kościele OO. Jezuitów błogosławił kuzyn pana młodego, były arcybiskup warszawski, Szczęsny Feliński. Arcybiskup Feliński, zesłany karne przez cara do Jarosławia nad Wołgą, był akurat w drodze powrotnej po 20-letniej izolacji.

Zbigniew wraz z żoną, Ignacją z Miączyńskich, usunął się do swojej willi w Bronowicach pod Krakowem zostawiając synowi samodzielne gospodarowanie rodzinnym majątkiem. Stefan miał wtedy 31 lat, a opiekę nad rodzinną ziemią traktował jako święty obowiązek wobec ojczyzny. W 1904 r. wybudował nowy dom, zwany „nowym dworem” dla coraz

liczniejszej rodziny. Przeżył obie wojny, stracił stary dom – gniazdo rodzinne w wyniku wybuchu niemieckiej amunicji w 1944 r. Doczekał nacjonalizacji majątku po objęciu władzy ludowej, która pozostawiła rodzinie tylko ogród i drugi, „nowy” dom, ledwie nadający się do zamieszkania. Zmarł w 1953 r., sześć lat po wcześniejszym odejściu żony. Oboje zostali pochowani na miejscowym cmentarzu, w grobowcu rodzinnym wybudowanym przez pradziadka Jakóba.

W tzw. „resztówce” majątku zamieszkały trzy córki Stefana: Kinga Moysowa i Józefa Paygertow, wydalone z majątków swoich mężów na Podolu, oraz Anna, osoba niezamężna. Prowizorka egzystencjalna – dorywcza praca w Liceum (Kinga posiadająca uprawnienia do nauczania języków obcych, które zdobyła w czasie I wojny światowej w Wiedniu, uczyła jęz. francuskiego i niemieckiego, a Józef Kalasanty, mąż Józefy, inżynier rolnik z wykształcenia, fizyki i chemii) oraz uprawa warzyw w resztkę ogrodu – trwała do końca ich życia, czyli śmierci najmłodszej Anny w 1993 r. Dom, dawny dwór, właścicielki zapisały w testamencie kościołowi, a potem, z poręczenia proboszcza, stał się domem opieki dla dzieci potrzebujących pomocy fundacji „Wzrastanie” im. Jana Pawła II.

Ziemiańskie gospodarowanie

Młodzi Stefanostwo Trzeciescy mieli na starcie wspólnego życia wszystko co potrzeba do szczęścia: młodość i zdrowie, dobrze prosperujący majątek, samodzielność, podobny system wartości i zapatrywania. Urodziło się im szescioro udanych dzieci: cztery dziewczynki i dwóch chłopców. Zupełnie nie znającej się na gospodarstwie Eleonorze (Leonii) dom prowadziła zaufana klucznica – przyjaciółka, Tekla Fray. Liczyła każdą serwetkę, dzieciom matkowała, służyła „patrzyła na palce”. Dom pod jej rządami funkcjono-



Il. 1. Leonia i Stefan Trzeciecy w strojach ślubnych, 1895 r.,
 fot. ze zbiorów autorki

wał jak dobrze naoliwiona maszyna. Leonia mogła więc pisać listy do rodziny i przyjaciół, a umiała i po francusku, niemiecku i włosku, pokazywać dzieciom wieczorami albumy ze sztuką włoskiego renesansu, głaskać ukochane psy i hodować równie ukochane róże.

Stefan gospodarował. Po przodkach odziedziczył namiętne ukochanie ziemi, traktowanie jej jako żywicielkę i dar od Boga. Nigdy żaden spłachetek nie mógł leżeć odłogiem. Wszystkie czynności rolnicze i hodowlane były poddane tradycji, zwyczajom i niezmienności, np. kropiono wodą święconą bydło wypuszczane wiosną na pastwiska. Znakomity rolnik, Stefan miał specyficzne pojęcie o dobrym administrowaniu: dobrodusznie ufał zamiast kontrolować i spraw-



Il. 2. Dwa dwory, w głębi nowy. Zdjęcie z okresu międzywojennego, fot. ze zbiorów autorki

dzać, nikogo nie pytał o radę, a jako tradycjonalista pamiętał i powtarzał, co w takiej sytuacji mówił ojciec. Nie gromadził oszczędności, bo przy takiej postawie nie było to nigdy możliwe. Słynął z miłosierdzia: wspomagał każdego, kto był w potrzebie, po klęskach żywiołowych spełniał rolę przywódcy wspólnoty miasteczka. Hojną ręką obdarzał kościół parafialny, zyskał piękny tytuł „kolatora”.

Były od tej postawy dobrego dziedzica, lecz wyjątkowo łatwowiernego człowieka, dwa wyjątki: na początku XX w. Stefan stał się współdziałowcem nowego młyna „Leonia”, a potem cegielni, razem z dwoma dynowskimi zamożnymi mieszczanami, oraz wybudował nowy dom obok starego dworu, finansowany przez wujka Michała Miączyńskiego. Dom miał być przystanią na starokawalerskie samotne lata wujka. Argumentem dla Stefana był fakt, że on sam miał sporo dzieci, stary dom był stosunkowo niewielki, zaniedbany, słowem, niewystarczający. Po śmierci Michała Stefan

miał jego nowy dom odziedziczyć. I tak się stało: wuj nie doczekał wykończenia domu, umarł w 1904 r. A dom stał się przystanią dorastających dzieci, gości i letników.

Katastrofą dla gospodarki Stefana okazała się I wojna. Zmieniające się fronty, austriacko-niemiecki i rosyjski, ukazywały bezsilę ludności cywilnej, zwłaszcza wobec inwazji rosyjskich wojsk. Stefan w lęku zwłaszcza o córki zabrał rodzinę i pojechał do Wiednia. Tam spędzili parę miesięcy doczekawszy przesunięcia frontu na wschód. Po powrocie zastał totalną ruinę, folwark i zabudowania gospodarcze zniszczone, wnętrza dworu zdewastowane, służbę w rozsypce. Wspaniała wyprawa Leonii zrabowana, księgozbiór nie do ponownego użycia. Dziedzic zupełnie się załamał. Nawet powstanie wolnej Polski nie dodało mu skrzydeł, zwłaszcza że polityka rolna rządów II Rzeczypospolitej była fatalna. Nie odbudowywał, nie inwestował, stale powtarzał, że kolejna wojna tuż, tuż.

Córki bardzo szybko wyszły za mąż za ziemian z Podola, synowie wyjechali na studia do Paryża i Gandawy (opłata studiów została sfinansowana ze sprzedaży ziemi). W domu została najmłodsza, Anna, zaniedbana jeżeli chodzi o wykształcenie, bez posagu. Pozostała samotna do końca życia.

W okresie międzywojennym korzyści przynosił jedynie młyn i wybudowana opodal cegielnia produkująca cegły z wrytym strzemieniem, herbem rodziny. Gospodarka rolna okazywała się zupełnie dekoniunkturalna, ale Stefan niczego nie zmieniał: nie kontrolował, nie liczył dochodów, godził się na posunięcia zupełnie nierentowne, tyle że tradycyjne. Zięciowie, Michał Moysa i Józef Kalasanty Paygert, obaj zamożni, znakomici nowoczesni rolnicy, usiłowali pomóc, radzić. Stefan słyszeć nie chciał o jakiegokolwiek kurateli, nawet od najbliższych i bezinteresownych. Podobny los spotkał synów: Antoniego i Jakuba. Obaj zdecydowali się na emigrację, pierwszy do Stanów Zjednoczonych, drugi do Belgii. Ojciec nie chciał nikogo dopuścić do współrzędów.

W czasie II wojny dom pękał od rodziny, która zjechała po wywłaszczeniach na Podolu, oraz ludzi obcych, zrujnowanych wojną w Poznańskim. Podobno do stołu siadało około dwudziestu osób. Aby wyżywić wszystkich Stefan sprzedawał pole. Najczęściej bez wpisu notarialnego, bo kupujący nie był takim obrotem sprawy niezadowolony: „po co płacić podatek dochodowy?” Po wojnie majątek skurczony do 49 ha został upaństwowiony z braku tychże wpisów (reforma rolna dotyczyła majątków powyżej 50 ha).

Cały okres powojenny, 44 lata, w starym domu, kiedyś zwanym nowym, spędziły trzy siostry: Kinga, Józefa i Anna. One to szamocząc się z biedą i niedostatkami zachowały w szarej rzeczywistości Polski Ludowej starą kulturę i niezapomnianą atmosferę przeszłości. Obaj synowie Stefana pozostali za granicą, a Stefania, żona oficera wojsk polskich, który spędził całą wojnę w oflagu, nielegalnie dołączyła do niego z dziećmi w 1947 r. i osiedlili się w Brazylii.

Przywiązanie do religii

Najgłębszą nicią wiążącą Stefana i Leonię była żarliwość religijna. Zwyczajem, naturalnie, ale nade wszystko głęboką i świadomą wiarą. Stefan, póki mógł chodzić, nie opuścił codziennej mszy, przyjmując i Komunię świętą. W tamtych, głęboko przedsoborowych czasach, było to nieomal kuriozalne: do sakramentów przystępowało się raz w roku z okazji Wielkanocy. Znamienne, że nikt w ślady dziedzica nie szedł...

Obdarzony wyjątkowym muzycznym słuchem często zastępował organistę przy grze i śpiewie. A ze szkoły średniej (którą ukończył w Rzeszowie) wyniósł znakomitą znajomość łaciny. Zdarzało się, że poprawiał księży, zwłaszcza młodych, zazwyczaj nieśmiałykh wikarych. Dbalność o piękno liturgicznego języka wynikała wyłącznie z szacunku wobec

tęgo, co się w kościele działo. Wielka szafa w sieni dworu była wypełniona pismami o treści religijnej, które abonowano, również z Francji. Nie była to łatwa literatura dewocyjna, a ściśle teologiczna. O głębokich zainteresowaniach i przemyśleniach świadczą zapiski w starych modlitewnikach, które, cudem ocalałe z pożogi wojennej, z pietyzmem pielęgnuję w swojej bibliotece. Religia była wówczas prześląknięta duchem despotycznego patriarchalizmu: o klerze nie wolno było rozmawiać krytycznie, wypowiedzi papieża traktowano jako nieomyślne, a on sam jako najwyższy autorytet i wyrocznia we wszystkim, o czym mówił. Co dotyczyło wiary, nie podlegało dyskusji ani krytyce. „Za to Bóg cię skarże” – to zdanie było myślą przewodnią wszelkiej katechezy. Boga postrzegano jako surowego Sędziego, a nie Ojca pełnego miłosierdzia.

Tradycje wynikające ze świąt religijnych, do dziś zachowywane w kulturze ludowej, były przestrzegane przez dwór z całą skrupulatnością. Nawet śmigus-dyngus był ważny. Ale były i tradycje wzruszające, pełne wymowy: po Bożym Ciele dziedzic z najstarszą służbą jeździł po krańcach swych włości i z pietyzmem zakopywał w czterech rogach karteczki z tekstem Ewangelii czytanej przy każdym z ołtarzy na procesji. Czy takie postawy były częścią zwyczajowości innych domów ziemiańskich w Galicji? Trudno oceniać z perspektywy lat. Wydaje mi się jednak, że raczej religijność przejawiała się w zwyczajowości i przywiązaniu do tradycji przodków aniżeli poprzez pogłębioną wiarę. Dom dynowskiego ziemianstwa był tu raczej wyjątkiem.

Stosunek do zaborców

O zaborcy rosyjskim mówiło się zawsze źle: to był wróg niszczący zarówno ducha Polaków, jak i ich dorobek materialny. Uciekinier „zza kordonu” był postrzegany jako brat

w potrzebie, udzielano mu pomocy i gościny. Podobnie traktowano zaborcę pruskiego. Ale tamten świat był tak daleko od galicyjskiego, że tylko jakieś więzy rodzinne mogły go od czasu do czasu przybliżać. Zupełnie inaczej było w Galicji. Z Austrią współpracowało się, cesarz Franciszek Józef był dla wszystkich „najjaśniejszym panem”, katolicyzm jednakowo wyznawany, a porozumienie kulturowe zadowalało oba narody. Naturalnie, nie mówię tu o galicyjskiej nędzy wiejskiej, fatalnym szkolnictwie powszechnym czy problemach mniejszości narodowych. Ale inteligencja i ziemiaństwo żyło swobodnie, byli postrzegani przez wiedeński rząd jako partnerzy we współrzędzeniu Galicją, przyjmowani na cesarskim dworze. Tam właśnie Eleonora stawiała pierwsze kroki na balach, została przedstawiona cesarzowi jako osoba z wystarczającym rodowodem szlacheckim (posiadała tzw. „seize quartiers” – szesnastu herbowych przodków) oraz córka wysokiej rangi urzędnika.

Wszyscy mówili znakomicie po niemiecku i czuli się w Wiedniu (w Galicji mówiono: Widniu, od Vien, wymowa Vin) swobodnie. Zawierano wiele małżeństw mieszanych. A objazd olbrzymiego cesarstwa nie nastroczał cienia trudności: od Lwowa do Wenecji nie było żadnej granicy, ani razu nie wyciągano paszportu. Ta klasa ludzi wspominała czasy austriackie, nawet już w wolnej Polsce, jako szczęśliwe. Podobne poglądy panowały i w rodzinie Stefana. Upadek caratu wywołał falę radości, śmierć Franciszka Józefa – smutek. Mówiono, że pomimo odzyskania niepodległości nic już nie było takie jak przedtem.

Relacje z Żydami

Ogromna liczba Żydów zamieszkujących Galicję stanowiła świat zupełnie odrębny od polskiego: religia, język, zwyczaje, samoświadomość. Nie mieszano się, małżeństwa

prawie nie wchodziły w rachubę. Żydzi byli zazwyczaj zaможniejsi, nawet ci najbiedniejsi stali lepiej niż galicyjska wiejska biedota: inteligentni, umiejący liczyć i prowadzić interesy. Można było od nich pożyczyć pieniądze. Robił to i dynowski dziedzic, zawsze bez grosza, poza okresem jesiennych zbiorów. A oddawał ze skrupulatnością, która aż dziwiła. W żadnej zapisanej wypowiedzi, w żadnym pamiętniku rodzinnym czy wspomnieniach sąsiadów nie znalazłam ani jednej wzmianki o pogardzie, złośliwości i przy-mrużeniu oka w opowiadaniach o Żydach. W tak gorliwie chrześcijańskim domu to było nie do pomyślenia. W czasie II wojny dziedzic przyjął do domu młodą Żydówkę, Hanię Nazimek, którą przywieźli ze Lwowa jego córka i zięć. Nie było chwili wahania i pytań, choć wiadano, jakie konsekwencje stosowali Niemcy w razie wpadki. Na szczęście, gdy ktoś z sąsiedztwa zaczął zbyt głośno wychwalać obrotność Hani przyrównując ją do Żydówki, ta szybko znalazła kontakt z cudem ocalałą rodziną i wyjechała w 1945 r. do Izraela. Dodać należy, że wnuczki Stefana utrzymywały z przyjaciółką mieszkającą w Haifie kontakt do jej śmierci.

Wychowanie dzieci

Pedagogika czasów przed I wojną hołdowała przekonaniu, że dziecko jest pomniejszonym dorosłym. Nie interesowano się więc, że ma ono różne potrzeby w okresie swego rozwoju, że postrzega świat inaczej, że nie ma doświadczenia, zupełnie inne emocje. Ostry autorytaryzm wychowawczy zastępował czułość i zrozumienie. Dzieci powinny pracować, czyli uczyć się, niezależnie od możliwości intelektualnych czy emocjonalnych. Podam dwa smutne przykłady: przyjęto nauczycielkę do nauki najstarszej, 6-letniej córki, Kingi. Aby zaoszczędzić, 5-letnia Józia musiała prze-

rabiać ten sam program bez taryfy ulgowej. Karano ją surowiej niż starszą: „jest leniwa i niegrzeczna”. A przecież dziecko nie nadązało zważywszy, że uczono je równoległe polskiego i francuskiego w mowie i piśmie. O surowości kar, ja, pedagog, wolę tu nie wspominać. Kolejny przykład: mały Kuba (Jakub) miał trzy lata, gdy przyjechała Francuzka, panna Ernestine Osiral z Alzacji, nie mówiąca słowa po polsku. To była znakomita metoda: dzieci po pół roku wyłącznego z nią przebywania, a i przy stole mówiło się w tym języku, zaczynały co nie co mówić same. Ale Kuba był malutki i nie mógł się uczyć dwóch języków od podstaw. Nikt się nad tym nie zastanawiał: Kuba był karany, stawiany za przykład złego, leniwego dziecka, które do niczego w życiu nie dojdzie. (Aby było zabawniej, on właśnie wyemigrował do Belgii, tam studiował, założył rodzinę i do śmierci mówił tylko po francusku). Panna Ernestine nauczyła się w końcu trochę po polsku i z wielkiej miłości wyszła za mieszkańca miasteczka, pana Piątkowskiego.

Do dzieci ojciec Leonii, Antoni, ciepły dziadzio ze Lwowa (postawa wyjątkowa i godna tym samym wielkiego szacunku) zaangażował kolejną nauczycielkę, Niemkę, Alicję Pistuschek. Dzieci (nie wiem, jak biedny Kuba) po paru miesiącach mówiły biegle w obu językach. Wszystkim przydało się to bardzo w różnych okolicznościach życiowych. Trzeba dodać: taka forma nauczania była dla ojca bardzo kosztowna, bo i nie do końca łożył na nią dobry dziadzio ze Lwowa, który zmarł w 1905 r.

Jakimi były dzieci poddane takiemu wychowaniu? Przede wszystkim nieśmiałe i przestraszone, nie oczekujące od rodziców wsparcia ani zrozumienia, a posłuszeństwo i poddanie się autorytetowi uznające za najważniejszą cechę postawy życiowej. Takie zalęknione posłuszeństwo cechowało i stosunek do religii, starszyny rodzinnej, a w konsekwencji, u kobiet, relacje małżeńskie. Ale nie było buntu.



Il. 3. Dziadzio Antoni Jaxa-Chamiec ze Lwowa,
fot. ze zbiorów autorki

Stwierdzano, że tak musi być, że rodzice są bezwzględnie surowi dla dobra dzieci, bo inaczej nie wyrosłyby na ludzi porządných.

Jednak, co ciekawsze, wszystkie zamężne córki Stefano-stwa były zupełnie innymi matkami aniżeli Leonia: ciepłe, trochę nawet rozpieszczające, przyjacielskie. Ale to były już lata międzywojnia, represyjna pedagogika odchodziła w zapomnienie. I tylko czasami dorosła już Józia mówiła po jakimś wybryku swojej czwórki: „dałaby wam moja mama!”

Na koniec warto odnotować postawę Leonii wobec hartowania dzieci. To była jej obsesja: „musicie umieć poprzestawać na małym, idą ciężkie czasy”. Dlatego pokoje dzieciinne wychodziły na północ, w jednym z nich była nawet kamienna podłoga, od wczesnej wiosny nie wolno było nałożyć butów, a i w zimie nie zwracano uwagi na to, jak się dziecko samo opatuli. Dzieci musiały same się obsłużyć w ciągu dnia: sprzątać bez niczyjej pomocy, opiekować młodszym rodzeństwem, nawet naprawić ubranie. W dużym ogrodzie była huśtawka, a we wszystkich zakamarkach dużego ogrodu wolno było się bawić. To była jedyna swoboda w życiu tych dzieci, bo i wakacji od lekcji nie było: nawet nie wiedziały, co to jest.

Same musiały dawać sobie radę z toaletą, a przy stole siedzieć jak trusie i wszystko zjadać, nawet jeżeli porcje były za duże lub dla dziecka niesmaczne. Grymasy – to było słowo zakazane. Nie wolno było mieć przeciwnego zdania niż starsi, ba, nawet odzywać się bez pytania i wstać bez pozwolenia po skończeniu posiłku. Leonia w pewnym sensie wygrała: wszystkie dzieci były zdrowe, nie bały się żadnej fizycznej pracy czy niedostatku. Jakże przydało się to podczas wojen i w czasach Polski Ludowej, gdy los nie szczędził dramatów!

Postawa ekspiacyjna za błędy przodków

Ziemiaństwo stanowiło bezpośrednich spadkobierców szlachty, która bezsprzecznie doprowadziła w wieku XVIII do upadku Polski. Niemal od początku niewoli powszechną wobec dramatów ludzkich wynikłych z życia w zniewolonym kraju była postawa służebności, wyjątki od niej karano ostracyzmem opiniotwórczym i towarzyskim. Udział w powstaniach narodowych był traktowany z pietyzmem, a praca na roli jako świadoma służba ojczyźnie. Uchylenie się od

tej odpowiedzialności było ostro piętnowane. Opieka dworów nad mieszkańcami wsi dotyczyła zatrudnienia i pomocy w sytuacjach losowych. Służbę otaczano opieką, a dzieci były uczone, najczęściej przez dziedziczkę, katechizmu i historii Polski.

Taką postawę opisują dostępne do dziś pamiętniki. Należy domniemywać, iż wielokrotnie pozostawała jako postulat, a nie rzeczywistość. Jednakże rodzina będąca bohaterem niniejszego opisu jest nadal dumą spadkobierców: utracuszośćwo, skąpstwo, znieczulica wobec potrzebujących, wyzysk, ponížanie – zupełnie do jej opisu nie pasują. Patriarchalna postawa dziedzica wynikała zapewne z wychowania według określonego systemu wartości i z głąboko przeżywanego chrześcijaństwa. W każdym opisie tragedii miasteczka Dynowa, któremu zwłaszcza II wojna nie skąpiła dramatów, pojawia się wzmianka, że to Stefan Trzeciecki udzielił pomocy pogorzelncom, przyjął ofiary powodzi, że brał udział w akcjach pomocowych. Nie brakowało go nigdy w trudnych sytuacjach, a odgrodzenie się od świata w wygodnym domu było nie do pomyslenia.

Szlachta a arystokracja

Rodzina Trzecieckich należała do typowej średniej szlachty małopolskiej. Nie znaczy to, że związków z arystokracją nie było: skromniejsi arystokraci wielokrotnie zawierali związki z herbowymi szlachciankami. Tytuły arystokratyczne pojawiały się więc również i w rodzinie. Nie przechodzono wobec nich obojętnie, ale i nie demonstrowano uniżoności. Np. matka Stefana, Ignacja Miączyńska, posiadała tytuł hrabiowski, ale mówiono o tym jako o sprawie normalnej i nie dodającej splendoru rodzinnej dumie. Dumnym było się jedynie z faktu służby ojczyźnie. O udziale przodka w narodowym powstaniu opowiadało się z poko-

lenia na pokolenie, a ocena magnackich zdrajców ojczyzny w wieku XVIII była zawsze negatywna.

Czy akceptowano chętnie związki poza „swoją sferą”? Zdecydowanie nie, i sprawy nie rozwiązywał ani majątek, ani wykształcenie. O takim nowym członku rodziny mówiono zawsze z westchnieniem dezaprobującym. Ofiarą tego snobizmu został szwagier Stefana, lekarz ze Lwowa, Kazimierz Jaszczurowski. I w późniejszych czasach było sporo mezaliansów, a córki Stefana używały tej nomenklatury nawet w latach osiemdziesiątych XX w. Czy takiej postawie przyświecał tylko snobizm? Wydaje się, że nie. Mówiono powołując się na mądrość życiową wynikającą z doświadczeń pokoleń: „tylko wychowanie w takiej samej sferze daje platformę pełnego porozumienia na co dzień”.

Na koniec ciekawostka: arystokracja, zwłaszcza ta XIX-wieczna, mówiła na co dzień po angielsku, natomiast szlachta, czyli ziemiaństwo – po francusku, ale nie na co dzień. Zdecydowany nacisk kładziono na doskonałą znajomość języka polskiego, a francuski znano niejako zwyczajowo, jako konwenans towarzyski.

Rodziny w Galicji i zaborze pruskim znały niemiecki z powodów naturalnych: szkoły, studia, urzędy, późniejsza praca. Co ciekawsze, w Galicji nie traktowano tego języka jako znienawidzone uciemnienie zaborcy. Tak było w tzw. Królestwie – w zaborze rosyjskim. Tutaj wszyscy, lepiej czy gorzej, dawali sobie z nim radę nie widząc w tym nic utrudniającego życie, co trzeba bojkotować. Angielskiego powszechnie we dworach nie uczono. Starsze dzieci Stefana miały przez krótki okres przed I wojną nauczyciela Anglika, ale zawsze powtarzano, że prawie nie nabyły znajomości tego języka. Nawiasem dodam, iż Kinga Moysowa nieomal utrzymywała się po II wojnie z tłumaczeń listów pisanych po angielsku zza oceanu, listów grzecznościowych, testamentów i pism urzędowych. Robiła to rzetelnie, z erudycją, ale o swojej umiejętności mówiła lekceważąco. Dla niej znajo-

mość języka to była jego umiejętność taka, która myliła rodowitych Francuzów czy Niemców.

Wracając do relacji szlachty i arystokracji: względy finansowe nie odgrywały w nich roli. Bankruci, ludzie żyjący poniżej minimum egzystencjalnego oraz z racji (czasami niezawinionych) dramatów życiowych, np. Potoccy z Rymanowa, stale byli atrakcyjnymi epuzerami, a zubożały szlachcic zawsze przedstawiał swoją wartość dzięki herbowi, ogładzie towarzyskiej, a na początku XX w. i wykształceniu, nie wielkości swego majątku. Nie do pomyslenia było określenie: „małżeństwo dla pieniędzy”, to kojarzyło się z postawą „nowobogacką”. Natomiast skoligacenie z nazwiskiem zasłużonym dla kraju to była tzw. „partia”.

Postawa wobec dramatów życiowych

Opisywany okres historii rodziny obejmuje prawie cały tragiczny wiek XX. Okres stabilizacji, względnego dobrobytu, niezmiennie postępujących po sobie lat podobnych do siebie niczym „paciorki różańca”, czas, kiedy zapomniano o wojnach, gdy mówiono, że wojny już się skończyły, bo przecież o co ludzie mają się bić? – to był koniec XIX i pierwsza dekada XX w. Stabilizacja obejmowała i biedną Galicję. Nawet i później mówiono w rodzinie Stefana: „spokój jak przed wielką wojną”. Ten spokój skończył się bezpowrotnie w lipcu 1914 r. Wojna zwana wtedy „wielką”, ciężkie życie w odbudowującej się wolnej Polsce, II wojna, dramaty nacjonalistyczne (banderowcy), wegetacja w nędzy i ostracyzmie społecznym w latach PRL-u, to tylko ogólne ramy tragedii i nieszczęść. Kinga i Józefa, prawie nierozłączne całe życie, mówiły: „Żyłyśmy zawsze albo przed, albo w trakcie, albo po wojnie. I koniec”. W 1921 r. obie wyszły za mąż za ziemian, właścicieli majątków na Podolu i Pokuciu, majątków zrujnowanych frontami wojennymi.



Il. 4. Dzieci dziedzica Stefana Trzecieckiego: Anna, Stefania, Józefa, Kinga, Jakub i Antoni, fot. ze zbiorów autorki

Stefania wyszła za oficera WP, Jerzego Kunsttetera, i też opuściła dwór rodzinny. Synowie ukończyli studia, w Paryżu i Gandawie i, wobec kategorycznego sprzeciwu ojca, który ani myślał o przekazie majątku ani unowocześnieniu go, zaczęli układać sobie życie na obczyźnie. Z rodzicami została najmłodsza Anna.

Okres międzywojnia to dla Kingi i Józefy była mozolna odbudowa majątków swoich mężów w Sidorowie na Podolu i Rudnikach na Pokuciu i wychowywanie dzieci. Sytuacja zaczęła się prawdziwie stabilizować dopiero w roku 1939... Niewiele wcześniej oba dwory zostały odbudowane, majątki, świetnie przez mężów administrowane, zaczęły dawać dochody. W Sidorowie, przykładowo, zajęto się uprawą buraków nasiennych sprzedawanych do Holandii.

Stefan w Dynowie gospodarował coraz mniej efektywnie, o czym już wspominałam. Nie zdecydował się na żadną monokulturę, uprawiał wszystkiego po trosze, podobnie było z hodowlą. Córki przyjeżdżały rzadko; odległość ponad 300 km to było bardzo daleko. Zresztą, niezbyt na nie czekano, rodzice moi wiedzieli, że będą nieśmiało, ale krytykowani. Wnuki, czworo dzieci Józefy i syn Kingi, prawie dziadków nie znały.

Druga wojna to było radykalne wywłaszczenie z majątków obu rodzin przez armię sowiecką 17 września 1939 r. Działo się to podczas zajmowania przez nią ziem polskich, a potem zaraz nastąpiło uwięzienie męża Kingi, Michała, i Józefa Kalasantego, męża Józefy i osadzenie w więzieniu Brygidki we Lwowie. Oskarżano ich o posiadanie własności ziemskiej!! Michał nie przeżył więziennej poniewierki; Józef, po wywiezieniu aż do Krzywego Rogu, zbiegł z towarzyszami niewoli i o zebranych chlebie, w łachmanach wrócił do Lwowa. Tam w mieszkaniu u jego starej matki Emilii przebywała żona z dziećmi. Stało się to już po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej.

Potworny głód, jaki nastał we Lwowie wraz z niemiecką okupacją, zmusił obie rodziny, nie mające środków do życia oprócz wyprzedaży mebli, obrazów, księgozbioru i biżuterii rodziców Józefa, do przyjazdu do Dynowa. Zostali najserdeczniej przyjęci. We dworze zastali Stefanię z trojgiem dzieci (jej mąż, oficer WP, był internowany przez Niemców), siostrę matki, Gabrielę Radzimińską ze swoją rodziną, rodzinę uciekinierów z Poznańskiego, państwa Trzczańskich. Słowem: wielu ludzi, sporo wiecznie głodnej młodzieży, wszystkich bez grosza, wyzutyh ze wszystkiego. Przy niegospodarności Leonii (ukochana Tekluńcia, która trzymała dom w ryzach, zmarła przed wojną), szero-kim gościu pana domu, sytuacja zakrawała na apokalipsę. Młodzież miała się jakichkolwiek zajęć za byle grosz czy talerz zupy. Kilkoro z nich przygotowywało się do eks-

ternistycznej „leśnej” matury; byli prowadzeni przez oddanych, przedwojennych nauczycieli. Józefa, Kinga i Stefania pracowały niczym wyrobnice przy uprawie warzyw i hodowli drobiu.

Tragedią dla rodziny okazał się koniec lipca 1944. Co-fająca się armia niemiecka zwiozła niewykorzystaną amunicję przed dwór na wielki trawnik zwany gazonem. Została ona wysadzona w powietrze zmiatając z powierzchni ziemi cały, stary, prawie 150-letni rodzinny dom, zabudowania folwarczne, mnóstwo drzew oraz bardzo uszkodziła tzw. nowy dwór. Na szczęście rodzina, w porę uprzedzona o planowanym wybuchu, wieczorem skorzystała z gościny dyrektora szkoły na dynowskim Przedmieściu. Wszyscy zostali prawie bez dachu nad głową. Meble, naczynia, pościel, całe wyposażenie obu domów przedstawiało koszmarny widok: rozrzucone naokoło dymiących zgliszczy, połamane, poniszczone. Trzeba było jednak gdzieś mieszkać, otoczyć opieką osoby starsze, przywrócić funkcjonowanie domu – ruiny. Nikt nie załamywał rąk, nie wpadano w rozpacz, że nie wspomnę o depresji. Nie było na to czasu – pracowali wszyscy. Czekali potrzebujący. I tak się stało: własnymi rękami naprawiono co można w nowym domu, przywrócono jego funkcjonowanie. Dramatem była ogromna ilość niewybuchów. Nawet nie opowiadano nam, urodzonym po wojnie, jak się z tym uporano, i to bez strat w ludziach. Przez lata poszukiwania nęciły chłopców z miasteczka. Paru z nich straciło życie gdzieś w okolicznych lasach, gdy próbowali ciekawsko je rozkręcać szukając strzelniczego prochu.

Nastąpiła wiosna 1945. Trzeciescy w kwietniu świętowali złote gody. Na starym podniszczonym zdjęciu widać, jak siedzą przed zgliszciami starego dworu, z krzyżami w dłoniach, otoczeni rodziną i przyjaciółmi, z dzielnością spoglądając w przyszłość, którą będzie im dane spędzić jeszcze na tym świecie...



Il. 5. Rodzina przed ruinami starego dworu w 50. rocznicę ślubu Stefanostwa Trzecieckich, 1945 r., fot. ze zbiorów autorki

W maju, gdy wreszcie najstraszliwsza z wojen dobiegła końca, dom zaczął pustoszeć. Wszyscy wili sobie nowe miejsca pobytu, młodzież jechała w poszukiwaniu szkół, gościnny dom szybko opustoszał. Została tylko najbliższa rodzina Stefana i najwierniejsza służąca – przyjaciel, Helcia Kamińska. Rozpoczęto życie na nowo w rzeczywistości tak różnej od tej sprzed sześciu lat, jak różna jest noc od dnia czy czarne od białego. Ale nie było czasu na lęk i żałowanie strat. Trzeba było żyć.

Ziemiaństwo w Polsce Ludowej, do 1989 r.

Ziemiański dom w Dynowie nie został starty z ziemi w związku z nastaniem Polski Ludowej. Zawierucha społeczna prawdziwym cudem pozwoliła spadkobierczyniom

Stefana przeżyć najgorsze czasy stalinizmu i czasy zamierania ustroju, aż do jego końca, w swoim domu i resztkę pięknego niegdyś ogrodu wokół, wśród życzliwych ludzi – dawnej służby, przy wsparciu duchowym kolejnych proboszczów. Jak to się stało, zwłaszcza iż wszystkie okoliczne dwory przestały istnieć, a ich właściciele zginęli lub wyemigrowali za granicę?

Majątek Stefana w czasie reformy rolnej 1944 r. nie obejmował 50 ha, które były granicą nakazującą parcelację ziemi dekretem PKWN-u. Nie podlegał więc reformie i w takiej świadomości odchodził ze świata stary dziedzic w 1953 r.: dzieciom coś jednak zostawiał. Ale niebawem znaleźli się donosiciele na okoliczność sprzedaży ziemi podczas wojny bez adnotacji notarialnej. Cóż, Stefan był łatwowierny, ale bardzo uczciwy: kupujący wiedział, że nikt nie będzie dochodził praw do ziemi, za którą zapłacono, a okupant niemiecki został tym samym pozbawiony podatku. To cieszyło obie strony. Niestety, parę lat po wojnie sprawa wyszła na jaw. Skrupulatnie ją zbadano i ostatecznie, w majestacie ówczesnego drakońskiego prawa, wywłaszczono rodzinę z wszelkiej własności, bez odszkodowania. Pozwolono jedynie pozostać w domu i korzystać z ogrodu jako prawną rekompensatę za utracone mienie na Podolu i Pokuciu, ziemiach przyznanych po wojnie ZSRR.

I tak od 1955 r. zaczęło się we dworze, dawnym nowym, teraz prawie ruderze, nowe życie. To „nowe” miało trwać 35 lat, głodnych i chłodnych, w świadomości okrutnych zmian, jakie przyniosła do Polski na bagnietach sowieckich nowa władza. Coraz starszym kobietom nic się nie mogło podobać: natrętna laicyzacja i prześladowanie Kościoła, wszechobecna cenzura informacyjna (słuchano tylko „Londynu” i Wolnej Europy niemiłosiernie zagłuszanych), propaganda władzy stawiającej siebie jako wyzwoliciela od „krwiopicjów”, czyli posiadaczy ziemskich, fałszowanie historii w szkole, braki w zaopatrzeniu... Właściwie codziennie

dowiadano się o nowych niegodziwościach komunistycznej władzy. Były też coraz bardziej samotne: dzieci po założeniu rodzin wyjechały, wnuki widziano jedynie podczas letnich wakacji. Tylko wtedy stary dom ożywał. Opowiadaniom nie było końca, a dzieci, o dziwo, słuchały i słuchały... Jednym z tych dzieci byłam ja, mająca szczęście urodzić się w tym kochanym domu.

Jak wyglądało życie czcigodnych mieszkanek domu w postępujących latach? Nie złożyły broni: to był stale dwór z wszystkimi swymi cnotami, zwyczajami i tradycjami. I tak na Wigilię byli proszeni proboszcz i wikarzy, w czterech rogach pokoju starego Stefana stały cztery snopy zboża, wszystkie polskie tradycje tej wieczery były skrupulatnie zachowywane. Podobnie święcenie pokarmów w Wielką Sobotę, wieńce na Matkę Boską Zielną czy świece cmentarne przewiązane biało-czerwonymi wstążkami 1 listopada. Panował jednak wszechobecny niedostatek. Ogród ledwo, ledwo wykarmił mieszkanki domu i letnich gości, ale trzeba było mieć i gotówkę do opłat (wcześniej pisałam o pracy Kingi i męża Józefy w liceum. To dało im małe emerytury. Po śmierci męża Józefy 70% dostała i ona). Pomimo tego nikt potrzebujący nie odchodził z tego domu bez niczego, a na pewno nie bez wsparcia dobrym słowem. O brakach nie mówiło się, nie proszono o wsparcie ani krewnych, ani instytucji. Życie jest trudne, „ale trzeba temu podołać z podniesioną przyłbicą”, mawiały. Podejmowały się więc lekcji z języków obcych i tłumaczeń oraz, co trudniejsze, pisanie listów, zwłaszcza po niemiecku i angielsku. To trochę ratowało budżet, przy okazji będąc nieocenioną pomocą dla mieszkańców Dynowa.

Kiedyś odwiedził ich daleki kuzyn, historyk z Uniwersytetu Jagiellońskiego poszukujący pozostałości po dawnych czasach. Rozmawiał, rozglądał się, badał co mógł. A potem określił ten dom jako nadzwyczajną enklawę pozostałości życia z lat minionych, enklawę, której strzeżenie przypadło oso-

bom, dla których ten dawny świat wprawdzie przeminął, ale powinien zostać zapamiętany. To była bardzo celna ocena.

Na progu starości obie siostry przeżyły wybór Jana Pawła II, jego trzy przyjazdy do Polski, powstanie Solidarności – ich ostatnie wielkie wzruszenia. Kinga i Józefa zmarły pod koniec lat osiemdziesiątych, nie doczekawszy wolnej Polski. Anna i Helena, choć odeszły parę lat później, chore i zniedołężniałe, nie patrzyły już na przełom roku 1989 jako na próg nadziei. Zamknęła się epoka.

PS. Zainteresowanych dziejami rodziny Trzecieckich odsyłam do lektury mojej strony internetowej: marychna.witkowscy.net. W dziale „wspomnienia” są pamiętniki Kingi, Leonii, również moje dotyczące lat pięćdziesiątych. Zapraszam do ciekawej lektury.